Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Łoś ubity przez Maurycego hr. Potockiego w rewirze Goszczewo, pow. Kossowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 42 (697) 15 PAŹDZIERNIKA 1932 R.

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć, że czas już odnowić prenumeratę na IV kwartał lub miesiąc październik.

Zawiadamiamy jednocześnie, że numery reklamowane (z powodu nieotrzymania) wysyłać będziemy przy ekspedycji najbliższego numeru po otrzymaniu reklamacji.

BACZNOŚĆ MYŚLIWI!

II Pokaz trofeów łowieckich odbędzie się w dniach od 3 do 20 listopada r. b., w Warszawie, w salach Kasyna Garnizonowego, przy Al. Szucha Nr. 29.

Protektorat nad Pokazem przyjął P. Minister Rolnictwa Seweryn Ludkiewicz.

Pokaz tegoroczny obejmować będzie trofea wyjątkowo ciekawe i rzadkie.

Na pokazie znajdą miejsce: łopaty łosi, wieńce jeleni, łopaty danieli, poroża sarnie, szable dzicze, a nadto mapy statystyczno-łowieckie poszczególnych województw, wykazy i wykresy, ilustrujące gospodarkę łowiecką.

Baczność Myśliwi!

Termin zgłoszeń upływa z dniem 20 października, po tym zaś terminie w drodze wyjątku przyjęte być mogą tylko eksponaty, zdobyte pomiędzy 20 i 31 października r. b.

Za miejsca na Pokazie żadne opłaty nie będą pobierane.

Eksponaty, nadesłane na Pokaz koleją, zwolnione są od opłat przy przesyłce kolejowej powrotnej.

Czas jeszcze zgłosić piękne trofea na II Pokaz trofeów łowieckich!

Zgłoszenia nadsyłać należy pod adresem:

Komitet organizacyjny II-go Pokazu trofeów łowieckich, Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 607-98.



Ossa na stójce. Fot. A. Gaponow.

CZERWONE TROFEA.

(Ciąg dalszy).

A to cholery, tak wrzeszczą po lesie, co wszystkie kozły za dziesięć wiorst uciekną!

Uwaga była może wyrażona zbyt trywialnie, ale z punktu fachowego, całkiem słuszna. Jakby w odpowiedzi na pesymistyczne poglądy starego, rozległ się jeszcze donośniejszy głos:

Hannooo!

Ledwo ucichło uniesione echem drgające, coraz słabiej przeciągłe nawoływanie, buchnął za memi plecami przeraźliwy kobiecy wrzask:

Hop... hop!

Drgnąłem przestraszony, a spłoszona sójka zerwała się z sosny, odlatując pośpiesznie z trwożliwem skrzeczeniem.

Okazuje się, że to Mikołajko, starał się zmylić poszukujące się towarzyszki. I rzeczywiście skutek był momentalny, bo obie naraz zaczęły hukać i nawoływać, skonsternowane usłyszaną odpowiedzą z przeciwnej strony. Rozbawieni tem zajściem gwarząc wesoło, za pół godziny stanęliśmy wreszcie na skrzyżowaniu leśnych dróg.

— No paniczu — odezwał się Mikołajko, wskazując mu rozłożysty krzak — proszę tu stać, a zajdę z psem. Tylko celić dobrze, bo kozioł musowie pewny!

Nabiłem strzelbę, stanąłem za rozłożystym krzakiem jałowca, rosnącym na samym skraju drogi i pełen denerwującego oczekiwania zamarłem w bezruchu.

Mikołajko tymczasem szybko zagłębił się w las. Postać jego to ginęła zupełnie, to znowu ukazywała się między drzewami, oddalając się coraz bardziej i zlewając z ogólnym tłem lasu.

Za chwilę słychać było tylko przytłumiony głos starego, jak przywoływał psa.

— Burek na, na ciu na, na na...!

Wołanie Mikołajka stawało się, coraz bardziej niewyraźne, dalekie, aż ucichło zupełnie.

Zapanował absolutny spokój.

Przede mną stał cichy milczący bór.

Tysiące strzelistych sosen, jak kolumnada jakiejś prastarej świątyni, podtrzymywało rozpostarty baldachim igliwa, sączący matowe zielone światło.

Okrągłe pnie drzew, pokryte łuską kory, rosnące dosyć rzadko na pierwszym planie, skupiały się w perspektywie coraz gęściej, aż wreszcie tworzyły jednolitą, zwartą ścianę.

Trzy równoległe pasy kolorów w łagodnych, przyciemnionych tonach barwiły jesienną pozłotą wyniosły, nieruchomy bór.

Dołem szedł pas jasnego złota — to podszycie leśne, młode brzózki poraz ostatni w tym roku przystroiły swe cienkie gałązki w pożółkły jesienny liść.

Wyżej, połyskiwał oksydowanym bronzem pas zwartych pni sosnowych.

A górą, szedł pas ciemnej zieleni — to korony sosen splątane w wzajemnym uścisku, osypane miljardem igieł, utkały tę wstęgę ruchliwą i falującą za-

dobry kawał drogi. Puścił się nieboszczyk ojciec, biegiem, aż poły zafurczali i co duchem wali na przesmyk. Przybiega zadyszawszy się, aż tu patrzy kozioł już stoi i czeka! Przycelił się pan, przymierzył subtelnie i bach z jednej lufy, ale że wakuratnie w ta chwila nabierał duch w piersi, tak lufy pojszli wgórę i tylko obciął wierzchołek sosenki, która rosła za stojącym kozłem.

— Nu wiadomo, sosenka niegruba, — tłomaczył Mikołajko, — po strzale tak wyglądała, by dobry dyszel od furgona w ziemi sterczący. Tak, pan jeszcze lepiej przycelował się i bach z drugiej lufy. Ale, że na ten przykład wakuranie wypuszczał duch, tak lufy pochilili się w dół, i popadł znowu w sosenkę, ale już przy samych korzeniach, ścinając ją, by siekierą. A kozioł stoi i patrzy się na nieboszczyka ojca wyrapiwszy oczy, a sosenka tymczasem chili się... chili się i... buch kozła po łbie! Tak kozioł tylko przysiadł na zadzie, wywalił oczy w słup, by zwarjowany i zwalił się zemdlawszy! — tu Mikołajko tak błysnął białkami oczu, taką zrobił minę, demonstrując warjującego kozła, iż buchnąłem kaskadą szalonego śmiechu.

— Nu, widzisz paniczu, że nabiegawszy się, tak obsolutnie niemożebliwie dobrze przycelić się — przekonywał Mikołajko. — A później co kumedji było z tym kozłem, który poleżawszy trochę chciał uciekać, tak opowiadać—opowiadaj, a powierzyć trudno. Nadbiegł ja, wakuratnie w ten moment, jak nieboszczyk siłował się z kozłem trzymając jego za rogi...

— O, zdaje się goni — przerwałem Mikołajce, zatrzymując się w miejscu.

C. d. n. ST. PACEWICZ.



„W O J T E K".

(Ciąg dalszy).

Po obejrzeniu dość dużych, a ładnie operlonych rożków i dokonaniu zwykłej, a koniecznej operacji przy ubitej sztuce, powróciliśmy ze staruszkiem w wyśmienitych humorach do domu na kolację, która po kilkogodzinnym pobycie na świeżem powietrzu, znakomicie nam obojgu smakowała, tymbardziej, że młode kuropatwy, ubite przezemnie rano, były wybornie przyrządzone i smakowały, jak nigdy. Staruszek, na cześć tak mile spędzonego dnia wydobył z piwnicy butelczynę godnego starego miodu. Przy tym staropolskim napoju, zapijając go powoli, przegawędziliśmy do późna, rozprawiając oczywiście znowu o odbytem w dniu dzisiejszym polowaniu, a na dobranoc, wyjawił mi, że w tych dniach zawiezie mnie na... „Wojtka". Nie mając pojęcia co to za Wojtek, zaintrygowało mnie na razie tego rodzaju powiedzenie staruszka, co mi też zaraz temi słowy wyjaśnił:

„Ano — sąsiad mój o miedzę, również posiada sporą ilość sarn w swych, przylegających do mych lasów, rewirach, które jeden z mych, a bardziej kochliwych kapitalnych rogaczy, niekiedy odwiedza. Otóż wiadomo mi od mych borowych, że już niejednokrotnie na niego się zasadzał, gdy zaszedł kiedy do jego sarn na amory, lecz na szczęście ów sprytny mój rogaty amant, zawsze, jak dotąd w samą porę mu się wymykał i do swego stałego rewiru, obranego sobie w mych borach, szczęśliwie jakoś zawsze powracał i jest w nich i teraz, a że memu sąsiadowi na imię Wojciech, przeto przezwali moi dowcipni borowi tego rogacza — „Wojtkiem" i tak do dziś pozostało. Otóż ten rogacz wychodzi od jakiegoś czasu stale z lasu na przyległe przelocisko za folwarcznem podwórkiem, gdzie też codziennie go widuję w towarzystwie dorodnej kozy. Często oboje w bryczce podjeżdżam, ażeby tym sposobem Wojtka i jego Wojtkową do widoku bryczki należycie przyzwyczaić, co mi też się ostatecznie udało, o czem zresztą sam pan się przekona, a dla tego wybierzemy się którego dnia na Wojtka, by go panu Wojciechowi jednak sprzątnąć gracko z przed nosa, lecz niech pan dobrze się spisze, boć rożki ma olbrzymie i piękne jak rzadko, którym już niejednokrotnie dobrze się przez lornetkę przyjrzałem". — Za tak poczciwe względem mnie staruszkowe zamiary, podziękowałem, oczywiście jaknajserdeczniej,

przyrzekając jaknajsolenniej możliwie jaknajlepiej celować, gdy owego sławnego Wojtka na strzał mieć mi przyjdzie.

Następnego dnia otrzymałem depeszę z domu, że zmarł nagle w naszem mieście na udar sercowy jeden z mych dobrych znajomych i że pogrzeb odbędzie się w sobotę.

Wiadomość ta szczerze mnie zasmuciła i naturalnie trzeba było na pogrzeb pojechać, gdyż wiązała mnie ze zmarłym, oraz jego rodziną, od dawna serdeczna przyjaźń. Gościnny mój staruszek nie był oczywiście raz z tego mego wyjazdu, a pragnąc, ażebym jaknajprędzej powrócił, obiecał dać mi karetę i konie do mej dyspozycji, co też z wdzięcznością przyjąłem, przyrzekłszy oczywiście, że zaraz po pogrzebie przyjadę z powrotem. Po odbytym smutnym obrzędzie, trzeba mi było wstąpić jeszcze do domu żałoby, gdzie do dość późnej godziny zamarudziłem, aż wreszcie załem furmanowi zaprzęgać i nie przebierając się, wprost powróciłem do mego kochanego staruszka.

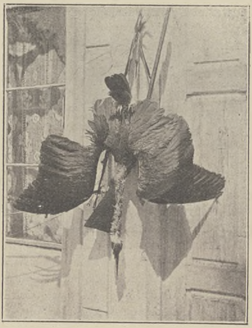
Gdy zajechałem przed dwór, była godz. 6 rano. Staruszek już nie spał i był całkiem ubrany, a uradowany moim powrotem, wyściskał mnie, mówiąc:

„Miałem przeczucie, że pan dziś wcześnie przyjedzie i dlatego też prędzej z łóżka się zerwałem, a niechno pan teraz szybko zrzuci te owe smutne żałobne szaty i w mig się przebierze w swój bardziej weselszy ubiór myśliwski, za chwilę bowiem jedziemy na „Wojtka", który już stoi na „Węglarzach" *) i już go obserwowałem zdaleka przez lornetkę, wyszedłszy za podwórze. Konie zaraz zajadą przed ganek, a zwykła nasza, wczesna herbatka, już czeka. Śpieszyć się trzeba i możliwie szybko załatwić się z Wojtalą, boć to dziś niedziela, właściwe zaś dzisiejsze śniadanie zjemy dopiero po powrocie".

Oczywiście do pośpiechu przynaglać mnie nie było potrzeba. Wnet się przebrałem, popijając z przerwami herbatę, wydobyłem broń z futerału oraz kule kal. 9,3 mm., a gdy bryczka przed dwór zajechała, wsiedliśmy do niej bez furmana, gdyż staruszek oczywiście, jak zwykle, sam powoził i ruszyliśmy szparko na zapowiedzianego przez staruszka — „sławnego Wojtka".

Wyjechawszy za podwórze, zatrzymał staruszek konie, a ja rozejrzałem się przez lornetkę za rogaczem i rzeczywiście dostrzegłem dwie sztuki, pasące się na przelocisku, tak jak to staruszek zapowiedział. Był to ów „sławny Wojtek" i jego małżonka. Podczas jazdy informował mnie staruszek, co należy mi robić. Otóż od drogi, biegnącej równolegle w pewnej odległości od widniejącego w oddali lasu, istniał tam głęboki rów, wrzynający się na kilkadziesiąt metrów w owe przelocisko, gdzie stał rogacz z sarną. „Gdy dojedziemy" — informował mnie w dalszym ciągu staruszek — „do tego rowu, wtedy niech się pan nieznacznie, a szybko zsunie podczas jazdy na ziemię i w ów głęboki rów jaknajszybciej wejdzie, a następnie rowem chyłkiem niech pan dojdzie, aż w sam jego koniec, obrośnięty krzewami tarniny, gdzie proszę przysiąść i oczekiwać na zbliżenie się sarn, które już postaram się w stronę pana napędzić, a wtedy będzie już pańską rzeczą — ażeby sprawy z „Wojtkiem" nie pokpić. Więcej nie mam już do powiedzenia, gdyż czasu brak, a zresztą sam pan chyba będzie dobrze wiedział, co czynić należy".

Otóż, gdy podjechaliśmy do tego rowu, dochodzącego pod prostym kątem do naszej drogi, zastosowałem się ściśle do instrukcji staruszka i za małą chwilę dotarłem po jego spodzie w sam koniec, porośnięty krzewami, a usadowiwszy się w nich, zacząłem się rozglądać przez gałęzie krzewów za pomocą lornetki I rzeczywiście, na jakie 250 do 300 kroków odemnie, stały te dwie sztuki, t. j. tęgi kozioł i nie mniej urodziwa koza, żerując sobie jaknajspokojniej dalej. Aż wszystkie nerwy mi zadrgały, gdym dostrzegł wspaniałe różki owego „sławnego Wojtka", były bowiem



Czapla. Fot. A. Kierski.

bardzo wielkie i rozłożyste i znacznie przewyższały sterczące mu uszy, miał więc staruszek najzupełniejszą rację, tak je wychwalając! W głowę jednak zachodziłem, jak to tam mój kochany staruszek owo cudo podegnać pod moją lufę zdoła, a medytując nad tem zagadnieniem, zauważyłem, że sarny paść się nagle przestały, wzniosły, jakby na komendę, smukłe swe szyje w górę i w stronę lasu pilnie spoglądać zaczęły, gdzie też po małej chwili dostrzegłem wolno jadącą nad brzegiem lasu bryczkę, a w niej mego staruszka, wymachującego energicznie batem i pokrzykującego na konie basowym swym głosem: „A-wio! — a ocip! — a ksobie!" i t. d. Gdy ujechał kawałek, nawracał znowu z powrotem i w ten sposób wciąż jadąc, to tu, to z powrotem, jak wyżeł przekładający za kurami, zbliżał się powoli w stronę kozła i kozy, które zaczęły, jakby od niechcenia, usuwać się coraz bardziej w głąb pola ku mnie, przed podjeżdżającą do nich bryczką. Te furmańskie manipulacje staruszka, to w jedną — to w drugą stronę, trwały bez przerwy wciąż dalej, a sarny, co moment usuwały się wolno przed nimi i zbliżały się coraz bardziej ku mnie. Te-

*) Kiedyś przed laty stał tam wielki, stary, sosnowy las, gdzie wypalano podobno węgiel drzewny, a dla tego też pozostałe po owym lesie pole, tak zostało przezwane.

raz dopiero pojąłem ową całą tą, tak wymyślną taktykę i z napięciem oczekiwałem zbliżenia się „Wojtka" na możliwy dla strzału dystans, a gdy wreszcie przybliżył się do mnie mniejwięcej na 90 kroków i bokiem przystanął — wziąłem go możliwie jaknajdokładniej na muszkę, celując na komorę i — wypaliłem.

Po strzale kozioł, jakby najzdrowszy, pomknął wraz z kozą szybko w stronę lasu, na widok czego, aż zakląłem z żalu i z goryczą spoglądałem na moją broń, gdy wtem doszło do mnie głośne wołanie staruszka. Wyskoczywszy z mego kolącego ukrycia, dojrzałem — o dziwo! — owego „Wojtka" jeszcze na przelocisku, kroczącego bardzo wolno, mocno jakoś zgarbionego z opuszczonym ku dołowi łbem i chwiejącego się na boki, a w końcu, po kilku jeszcze niepewnych krokach, walącego się na ziemię, niedaleko od szybko podjeżdżającego doń staruszka, który, gdy wreszcie nadbiegłem, z tryumfem zawołał: „A co? mamy jednak Wojtka, lecz cosik ta pańska pukawka za bardzo fuszeruje i wartoby ją koniecznie sprawdzić!" Kozioł drgał jeszcze w przedśmiertnej agonji i po chwili leżał już martwy. Gdym dostrzegł piękne jego różki, aż uściskałem z wielkiej wdzięczności kochanego mego staruszka, który tak świetnie mi dopomógł do ich zdobycia, a gdy powróciliśmy do domu, zająłem się zaraz po śniadaniu ich wymiarem, który, jak się okazało, był następujący:

Wysokość rożków, mierzona po krzywiźnie od pieńków	28,0 cm.
Największa ich rozpiętość	16,5 „
Obw. ściśle przylegających do siebie róż	25,0 „
Obw. każd. z rożków, tuż ponad różami	8,2 — 8,5 „
Wysokość największych pojedyńczo i gęsto stojących operleń nad różami w górę aż pod pierwsze rozwidlenie	0,5 — 2,0 „
Długość rozwidleń dolnych	8,0 — 9,0 „
„ „ środkowych	3,5 — 4,5 „
„ „ dolnych	6,0 — 7,0 „
Obwód pieńków pod różami	6,4 — 6,5 „

Ów niezbyt wielki obwód pieńków pod różami, oraz zęby ubitej sztuki dowodziły, że rogacz ten był dość jeszcze młody i miejscowy stary owczarz utrzymywał, że najwyżej liczyć go można na lat 3, choć tak piękną i wielką już ozdobę na swej głowie nosił.

Wielce uradowani powróciliśmy z triumfem do domu z tej tak szczęśliwej wyprawy, by się przebrać, zjeść pierwsze śniadanie, nieco po tych nielada emocjach wypocząć, a następnie przy obiedzie zakropić, tak piękne dnia tego trofeum, doskonałym staropolskim miodem, własnego przed laty domowego sycenia i spędzić wesoło resztę tej, tak sprofanowanej przez nas niedzieli, w gronie przybyłych do staruszka gości

C. d. n. EMIL KARNEY.

POLOWANIE Z OŚCIĄ NA RYBY.

Bicie ryb oścą było znane już od prawieków. Ludzie epoki kamiennej z pewnością zabijali ryby za pomocą dzidy z krzemienia sporządzonej. Starożytne narody, posługujące się żelazem, miały sporządzone z niego narzędzia, do bicia ryb. Wszak bożek Neptun, władca wód, przedstawiany bywał z trójzębem w ręku, który niczem więcej nie jest, jak dzisiejszą oścą do bicia ryb. U nas obecnie, biciem ryb oścą trudnią się prawie wyłącznie kłusownicy, a mało kiedy zawodowi rybacy. Amatorów tego rodzaju polowania, którzyby traktowali bicie ryb oścą, jako pewien rodzaj sportu i przyjemnej rozrywki, zdaje się, że w Polsce zupełnie niema. Wogóle sport wodny kryje się u nas w powijakach. Tylko w większych miastach nadrzecznych zaczyna się dopiero rozwijać.

Polakom trudno nałamać się do zajęć i rozrywek na wodzie. Stronimy i uciekamy od wody. Brukowy warszawski poeta Rozbicki, twierdził; że „Woda szkodzi nawet w butach", co wnet się u nas powszechnie przyjęło i stało się popularną gadką.

Mamy małe „okienko" na morze, wiele pięknych rzek i jezior, ale ryba u nas jest luksusem, potrawą, spożywaną przeważnie raz w rok, w dzień Wigilji Bożego Narodzenia.

Z tych powodów Polacy są, przynajmniej w kraju, bardzo w spożyciu ryb wybredni i chcą jeść ryby tylko żywe. Ryby jednak mają ten niemądry dla ludzi zwyczaj, że wyjęte z wody giną — tracą życie, duszą się z braku powietrza, potrzebnego im do oddechu.

Na zachodzie, gdzie ludzie spożywają wiele ryb, zabijają ryby po złowieniu, aby się nie męczyły i nie traciły na smaku i na wadze. U nas męczą je tygodniami, wożąc w beczkach z wodą, w których ryby chudną, tracą smak i wagę. A jednak tylko niektóre z ryb dadzą się czasowo przechowywać w naczyniu z wodą. Gatunki delikatne i wrażliwe, nawet przy największej ostrożności giną bardzo prędko, trzymane w naczyniu z wodą.

Przez ten, niczem nieuzasadniony zwyczaj, cena ryb żywych dwukrotnie jest większa od bitych, nieżywych. Z tych też powodów ryby bite oścą nie mają u nas chętnych nabywców, dlatego sprzedają je po zniżonych cenach. Ryb pokaleczonych ościami na targu nikt kupić nie chce. Z tej przyczyny rybacy zawodowi nie biją ryb oścą.

Amatorzy, którzyby chcieli spróbować bicia ryb oścą dla rozrywki i sportu oraz dla swej wyłącznej korzyści, muszą najpierw wyćwiczyć się w zachowaniu równowagi na chwiejącej się łodzi. Do tego rodzaju polowania, najlepiej służy łódź niewielka, sześciometrowej długości, którą kieruje wprawny wioślarz, siedzący w tyle. Myśliwy stojąc na końcu dzioba łodzi powinien być wprawny w zachowaniu równowagi, aby przy chybotaniu łodzią oraz biciu ryb, przy którem potrzeba wykonywać stosowne ruchy, korpusem ciała i rękami, nie wpadł do wody. Bicie ryb oścą odbywa się nocną porą przy świetle pochodni lub lampy acytelynowej. Promienie światła załamują się w wodzie. Przedmiot, leżący na dnie wody nie leży

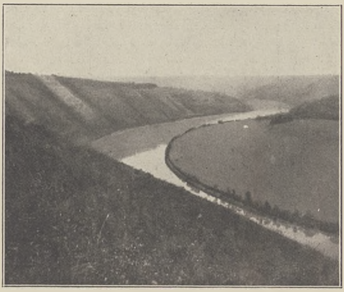
tam, gdzie go oko nasze widzi, lecz cośkolwiek bliżej nas. Im woda głębsza i czyściejsza, tem większe są tu różnice przy tem zjawisku. Z tego powodu przy biciu ryb ością należy mierzyć w głowę ryby, wtedy trafiamy ją w grzbiet pośrodku. Jeżeli będziemy mierzyć w środek grzbietu, to napewno trafimy w koniec ogona, lub poza nim w próżnię. Również pamiętajmy o tem, że na bystrej wodzie, prąd odchyli ość od punktu, do którego mierzymy. Na głębszej i bystrej wodzie odchylenie to, nawet przy najsilniejszem uderzeniu, jest bardzo znaczne i tylko przy wielkiej zręczności i wprawie można rybę w bystrej wodzie skutecznie trafić tam, gdzie ją trafić chcemy.

Latarkę acetylenową, opatrzoną silnemi reflektorami, trzyma się w lewej ręce, drążek ości przy samym jego końcu — w prawej. Przy czystej wodzie trudno zmiarkować głębokość wody i oddalenie dna od powierzchni. Zawsze nam się wydaje płyciej, aniżeli jest w istocie. Jeżelibyśmy ujęli rękojeść ości za krótko, to uderzając ością z siłą i rozmachem, nie dostawszy do dna, wpadlibyśmy z pewnością głową do wody.

Uderzenie ością wykonuje się z siłą i największą możliwą szybkością, bacząc jednak na to, aby przy zetknięciu ości z dnem, szczególniej dnem kamienistym, ość w czas cofnąć, tak, by uderzając o kamienie, jeżeli ryba została chybioną, nie uderzyła zbyt silnie, przez co by się odrazu stępiła, lub nawet strzaskała. W rzekach powyżej dwuch metrów głębokich trudno już bardzo trafić i wogóle widzieć rybę dokładnie, nawet przy bardzo czystej wodzie. W morzu i górskich jeziorach nawet przy sześciu metrach, jest to jeszcze możliwe. Najłatwiej bić ryby denne, te które stale płyną przy samem dnie, lub na niem spoczywają nieruchomo. Ryby, które pływają wysoko ponad dnem bić ością trudno i tylko bardzo wprawny i wyćwiczony łowca sztukę tę potrafi wykonać. Można jednak dojść do takiej wprawy, że płynącą w wodzie większą sztukę trafia się ością rzuconą, jak oszczepem, wtedy, gdy ryba jest zadaleko od czółna, ucieka i nie można jej dosięgnąć w zwykły sposób. Do bicia ryb ością potrzebne są nieodzownie trzy warunki: Czysta woda, ciemna noc i brak wiatru.

W wielkich rzekach woda oczyszcza się i staje się przezroczystą w późnej jesieni, podczas pogody i chłodnych nocy. W lecie tylko w jeziorach i rzekach górskich woda jest przezroczysta. W rzekach i jeziorach nizinnych woda jest zawsze mętna, a to skutkiem tego, że w ciepłej wodzie roi się od planktonu tak zwierzęcego, jak i roślinnego. Gdy woda oziębi się, plankton po większej części opada na dno. Przy bardzo nawet słabem świetle księżyca, ryby nie dają podpłynąć do siebie czółnem, na odległość stosowną do uderzenia, lecz uchodzą śpiesznie na głęboką wodę. Im noc ciemniejsza, im niebo bardziej zakrywają chmury, tem łatwiej ryby dadzą się podejść. Błędne jest mniemanie, jakoby ryby zbliżały się i podchodziły do światła, wyjątek tylko stanowią sandacze, lecz i te prędko się orjentują i spostrzegłszy niebezpieczeństwo uchodzą. Inne gatunki ryb zachowują się tak, jakby światła latarki nie widziały, lub było ono im obojętnem.

Wielkie jednak różnice w zachowaniu się ryb przy ich oświetleniu dają się spostrzegać i trudno zmiarkować, od czego one zawisły. W jednym dniu ryby płynące w stadzie, gdy się jedną z nich uderzy ościeniem, uciekają i nikną z oczów bezpowrotnie. W innym dniu można powtarzać uderzenia po parę razy, a nie trafiona ryba nie ucieka, jak również i jej towarzyszki zachowują się spokojnie. Czem później w nocy, tem ryby dają się łatwiej podjechać czółnem. Z wieczora są wrażliwsze i płochliwsze. Czy ryby zasypiają w nocy, trudno na to dać odpowiedź. Zdaje się jednak, że przynajmniej niektóre drapieżne gatunki może pewien czas odpoczywają w nocy. Szczupaki podchodzą pod brzeg na tak płytką wodę, że nieraz prawie pletwa wystaje im z wody i stoją tam nieruchomo godzinami. Jednak denne ryby płyną wciąż pomału pod wodą i widać, że żerują całą noc.



Dniestr pod Rakowcem.

Najlepiej jest przy polowaniu na ryby z ościeniem płynąć czółnem pod wodę. Ryby zawsze mają zwróconą głowę pod prąd wody, więc gdy jedziemy pod prąd, zajeżdżamy rybom z tyłu i wtedy łatwiej dają się podjechać. Gdy płyniemy z prądem, ryby ustępują się na boki i nie łatwo można je dosięgnąć ością. Uderzenie ością z boku nie jest pewne, ryba uderzona okręca się i najczęściej zrywa się z ości. Tylko uderzenie w grzbiet jest pewne, i śmiertelne. Zabita ryba, która zerwała się z ości lub ciężko skaleczona, nie wypływa na wierzch, lecz woda toczy ją po dnie. Taką matrwą rybę o wiele trudniej jest dobrze trafić ością, jak żywą. Przy wietrze nawet stosunkowo słabym, woda marszczy się na powierzchni lub faluje, wtedy trudno jest widzieć ryby w wodzie. Przy księżycu nawet w noc pochmurną, ryby uciekają i nie dają się podjechać.

Znamy jednak dwa gatunki ryb, w naszych rzekach, które również dadzą się bić ością w dzień. W morzach południowych jest bardzo wiele gatunków ryb, które również w dzień bić ością można, jak to mieliśmy sposobność naocznie się o tem przekonać. Czopy i Czeczugi, żyjące w naszych rzekach, dadzą się z łatwością podjechać czółnem w dzień, tak, że ościami można je łatwo zabić. Dzień jednak musi być jasny i słoneczny i bez silnego wiatru. Najwygodniej i najpewniej

ciekawe to polowanie, na te szlachetne ryby, da się wykonać przy pomocy żagla. Płaska łódź zwykła, opatrzona stosownym żaglem, płynie wolno pod wodę przy stosownym wietrze, plusk wioseł nie płoszy ryby i bez żadnego wysiłku można lawirować od brzegu do brzegu, przeszukując dokładnie dno rzeki. Gdy się ujrzy rybę, na dnie skierowuje się łódź tam, gdzie się ją chce mieć w danym wypadku, a żagiel nastawia się tak, by łódź stanęła w miejscu. Wtedy spokojnie można wymierzyć dokładny cios ością i ubić rybę. Przy wyciąganiu ryby z wody, zawsze należy ość z nabitą rybą kierować pod prąd, by ten nie zerwał ryby z ości, gdybyśmy inaczej to wykonywali. Nabitą rybę na ość strząsa się z niej, wtył za sobą na dno czółna. Rękami przytem nie należy sobie pomagać, gdyż można się skaleczyć i zawalać ręce śluzem i krwią zabitej ryby.

Bicie ością ma tę zaletę przed połowem ryb wędką, że tu mogę bić tylko te sztuki, które chcę. Przy połowie wędką, nigdy nie jestem pewnym, jaka ryba zawiśnie na haczyku. Czasem na wielki haczyk może przyczepić się mała rybka. Ością biję tylko sztuki wielkie, gdyż nawet gdyby się chciało bić małe, trudno to wykonać. Płynąc czółnem z lampą w ręku, przepatruje się na obie strony wodę, czy w promieniu światła nie widać ryby, jeżeli się ją spostrzeże, daje się znak ością w którą stronę ma siedzący w tyle wioślarz skierować łódź, by dojechać do płynącej ryby. Od roztropnego i umiejętnego kierowania łodzią, zależy wiele dobry wynik łowów.

Na rzekach uregulowanych polowanie tego rodzaju jest prawie, że niemożliwe. Tylko na jeziorach i większych rzekach, nie objętych regulacją, mogą być te łowy z dobrym wynikiem prowadzone.

Ciche, ciemne, mgliste jesienne noce, spędzałem często na łodzi, polując na ryby na Dniestrze, z ością przy świetle acetylenowej latarki. Stojąc na dziobie łodzi, badałem światłem latarki wodę na wszystkie strony, czy nie płynie gdzie większa ryba. Łódź pogrążona w ciemności, sunęła wolno po głębiach wodnych. Chwilami miałem wrażenie, że nie płynę, lecz unoszę się w powietrzu nad wodą. Gęsta mgła i ciemności nie pozwalały widzieć odległych brzegów, byłem pogrążony w przestrzeni bez granic. Tylko usuwające się na dnie kamienie, wskazywały, że łódź się porusza, lecz czy płynie wstecz — czy naprzód — czy płynie pod prąd, — lub z prądem, tego poznać nie można, z braku widocznego stałego punktu, potrzebnego dla orjentacji. W czasie mgły, można płynąć czółnem i nie trafić do brzegu, wtedy gdy chcemy lądować, co mi się parę razy przytrafiło.

Płynąc i przeświecając wodne tonie, oczekiwałem, czy jaki niezwykły potwór wodny nie ukaże się raptem przedemną. Nieraz zdawało mi się, że widzą oczy wlepione we mnie z głębiny, świecące zielonawym fosforycznym światłem. Wtedy mimowoli przechodził mię dreszcz po ciele, przypomniały mi się bajki miejscowych ludzi o topielach, i dziwożonach, czyhających na rybaków, aby ich wciągnąć w głębiny.

Niezmącona cisza, panująca w tej porze na rzece, płynącej między stromemi skalistemi ścianami, pokrytemi lasem, potęgowała uczucie niepokoju i mimowolnej trwogi. Czasem ciszę przerywał krzyk przeraźliwy leśnej sowy, spłoszonej światłem, lub szczekot kozła przestraszonego blaskiem latarni. Raptem z boku czółna spostrzegam dużą rybę. Po zielonkawym kolorze i po ruchach poznaję ciekawego sandacza, który zwabiony światłem podpływa pomału i ostrożnie do łodzi. Zwracam się w stronę, skąd sandacz nadpływa i czekam stosownej pory, by wymierzyć cios śmiertelny. Gdy ryba zwraca się od czółna, chcąc ujść na głębię, uderzam ością — trafiony w grzbiet pięciokilogramowy sandacz po chwili spoczywa na dnie łodzi.

C. d. n. LEON STARKIEWICZ.

KUROPATWA POSTRZELONA.

Odszukiwanie postrzelonych kuropatw, to nietylko zasadnicze zagadnienie łowieckiej sprawności myśliwego — to niemal sztuka łowiecka. Do tego trzeba znać wszystkie rodzaje zranienia i zachowanie się ptaka po danem zranieniu, czyli wiedzieć, jak kuropatwa w różnych wypadkach zranienia „znaczy".

Za pierwszy etap wydoskonalenia się w tej sztuce — uważam, aby myśliwy każdą zabitą kuropatwę obejrzał, gdzie i jak jest trafiona. Tymczasem — pies kurę poda, chłopak powiesi ją na trokach — i idzie się dalej. A przecież drogą oględzin można dojść do wniosku, że np. stale się zbacza, dołuje lub góruje—i w ten sposób poprawić swą technikę strzelecką i oko.

Przeważny procent kuropatw postrzelonych bywa przy strzale do stada, chociaż się mierzy do sztuki najskrajniejszej. Zatem stado po strzale należy uważnie śledzić, choćby gołem okiem, czy nagle nie odbije się od niego pojedynka i nie zapadnie osobno. Po taką trzeba pójść z psem natychmiast, jest bowiem z całą pewnością postrzelona.

Kuropatwa bywa ranna wtedy, gdy śruty, skośnie idąc, zadrasną ją, lub nie mając dostatecznej siły penetracyjnej, uwięzną w wierzchniej warstwie ciała, nie obrażą ośrodków nerwowych, a przez to nie wywołają obezwładnienia (zbyt dalekie strzały), lub uwięzną w częściach miękich tylnich i spodnich.

Gdy kuropatwa jest ranna w głowę, płuca, grzbiet i kuperek, wznosi się w górę pionowo, lub ukośnie, poczem spada na ziemię. Są to t. zw. świece — rozmaite, w zależności od miejsca zranienia.

I tak: po zranieniu dziobka lub zdarciu skóry z głowy — robi świecę, lecz w górze odzyskuje przytomność i ciągnie za stadem. Albo po świecy spada jak kamień, skutkiem uderzenia o ziemię przytomnieje cichnie, potem się zrywa i odlatuje. Myśliwy — nie wiedząc o tem, próżno jej wtedy szuka na miejscu upadku, a nieznalezienie pisze na rachunek psa. Po tak spadającą kurę należy psa posłać natychmiast, póki bowiem się nie zerwie, pies może ją podnieść.

Trafia się czasem, że kuropatwa leci ze stadem, po pewnym czasie odbija się, robi świecę i spada — martwa. Skutkiem zranienia płuc — następuje tu wylew

krwi. Kura leci, póki może oddychać, poczem spada z rozłożonemi skrzydłami i tak zwykle leży na ziemi.

Trzeci rodzaj świecy robi kuropatwa, ranna w grzbiet, kuperek i spodnie części miękie. Spuszcza wtedy cieki, zwalnia lot, świecę robi nie zaraz, poczem spada i leży żywa na miejscu. Leci falisto i chwiejnie. Jedynie po lekkiem zranieniu brzucha — spada po świecy, czasem się zrywa i odlatuje.

Zranienie cieków kuropatwa znaczy ich spuszczeniem. Ciągnie wtedy za stadem, zapada i zrywa się z niem razem. Pozostaje na miejscu, gdy stado cichnie i wtedy przed psem słabo dotrzymuje. Spuszczenie obu cieków (z bólu) oznacza też zranienie grzbietu i kuperka. Ciek, zraniony nisko, zalecza się i kura — kulejąc — żyje dalej. Ranione ścięgna uda powodują gorączkę, zakażenie krwi i kura ginie wśród wielkich boleści. Złamanie obu cieków zalecza się niekiedy, kura jednak ginie w bezruchu z głodu, lub, jeśli może jako tako chodzić, a przetrzyma zimę, wysiedzi wprawdzie na gnieździe, lecz lęg zmarnuje, nie mogąc mu grzebać jaj mrówczych. Przedewszystkiem więc winien dobry myśliwy zbierać postrzałki ze spuszczonymi biegami.

Najczęstszem bywa zbarczenie kuropatwy i to bardzo rozmaicie, zależnie, gdzie i jak obrażonem zostało skrzydło. Zbarczona spada ukośnie na ziemię na tę stronę, po której jest zbarczona, i to szybciej, lub wolniej, w miarę tego, czy mniej, lub więcej niezdolnem do lotu jest zranione skrzydło. Gdy skrzydło jest złamane tuż u nasady, lub gdy są oba złamane, kura spada jak kamień i myśliwy szuka jej tam, gdzie spadła. Czem bliżej końca jest skrzydło obrażone, tem wolniej kura spada, a przy skaleczeniu samego wierzchołka — z trudem wprawdzie, lecz leci dalej. Zasadniczo — zbarczona kura cieknie stale, o ile się przekona, że jest szukana. Z bólu, często zostaje na miejscu, ale po chwili wycieka, kluczy, zmienia redliny, a nawet pole. Czasami złamane skrzydło się zrasta i kura może jako tako latać — przeważnie jednak nie zrasta się, gnije, a kura staje się pastwą drapieżników. Kury zbarczone należy natychmiast z pomocą psa odszukiwać.

Ciekawe są zranienia oka, o ile przy tem niema obrażenia mózgu. Przy zranieniu jednego oka kura zatacza koła, coraz niższe, wkońcu spada. Gdy chcemy ją podnieść, zrywa się (o ile oko jest lekko zadraśnięte), zatoczy koło i znów spada, poczem już łatwo daje się podnieść. Skoro śrut przejdzie obu oczami, a mózg zostanie nienaruszony, kura robi świecę, po spadnięciu zaś nie wycieka.

Niekiedy kura zachwieje się po strzale, zrzuci pierze i leci dalej. Jest to nieszkodliwa obcierka, kury zaś nie potrzeba wyszukiwać.

Są to najczęściej spotykane zranienia, od których jednak jest mnóstwo odchyleń.

Wyszukiwanie postrzałków jest też w swoim rodzaju sztuką. Myśliwy winien tu zachować zupełny spokój; nerwowy i niecierpliwy przenosi swój nastrój na psa i wyprowadza go z równowagi. Krzyki, nawoływania i nakazywanie psu szukać tu gdzie nam się zdaje, a nie tam, gdzie psa nos prowadzi — nie mają żadnej racji.

Jeśli tylko spadła kura ma zdrowe nogi, zawsze wycieka. Myśliwy winien wtedy podprowadzić pod wiatr psa na właściwe miejsce i o ile weźmie trop, zostawić mu wolność działania. — Skoro pies nie może wziąć tropu, nie szukajmy zbyt długo, lecz ukryjmy się opodal. Kura, zostawiona w spokoju, chce złączyć się ze stadem i niebawem zaczyna wabić — co nam poprawia orjentację. Dobrze jest mieć z sobą wabik i taką sztukę zwabiać np. na orane pole, skąd ją pies łatwo podniesie, lub myśliwy dostrzeli.

Na zakończenie jedna jeszcze uwaga. Często pies podaje nam kuropatwę żywą, którą musimy dobić. Ze sposobów dobijania potępiam „piórkowanie" jako proceder długi i bolesny, jak również duszenie. Jestem może barbarzyńskim konserwatystą, twierdzę jednak, że uderzenie główką o kamień lub kolbę (obcas jest za miękki) sprowadza śmierć najprędszą, choć na pozór okrutną.

Spolszczył WŁ. KARNKOWSKI

POKAZ I KONKURS WYŻŁÓW DOWODNYCH W KLOSNOWIE.

Pomorskie Towarzystwo Łowieckie w Toruniu urządziło dnia 13 i 14 września 1932 r. w Klosnowie, pow. Chojnice, pokaz i konkurs wyżłów dowodnych. Organizację oddano wice-prezesowi p. Dr. Janowi Łukowiczowi z Chojnic, a do komisji sędziowskiej poproszono jeszcze pp. Bernakiewicza z Torunia, Gumprechta z Chojnic, Kerbera z Raciniewa, Szambelana Komierowskiego z Komierowa, Pruszaka z Krojant.

Terytorjum, na którem odbywały się pokaz i konkurs oddał do dyspozycji p. nadl. inż. A. Jezierski w lasach Klosnowskich i p. Kreich właśc. majątku Czartołomie. Przy zmiennej lecz przeważnie pięknej i korzystnej pogodzie odbyły się obie imprezy. Zainteresowanie było wielkie i zgłoszono 13 kandydatów. Materjał przedstawiony był dobry i co bardzo pocieszające, z każdym rokiem da się stwierdzić poprawa. Okazało się, że wytrwała praca propagandowa, jakoteż organizowane w ostatnich latach konkursy wyżłów dowodnych doprowadziły do b. znacznych postępów, szczególnie w okręgu Chojnickim, gdzie praca koncentrowała się głównie w niezawodnych rękach p. Dr. Jana Łukowicza. Stała poprawa uwidoczniła się w Klosnowie przedewszystkiem w stosunkowo b. wyrównanym materjale, jakoteż w pracy wyżłów, która zadowolić mogła nawet dosyć wysokie wymagania. Zauważyć się daje coraz większe zainteresowanie imprezami Pom. Tow. Łow., szczególniej wśród leśników; widocznem jednak jest, że i inne czynniki doceniają ich wartość. Dowodem tego, że na zaproszenie wzięli udział w Komisji Sędziowskiej: delegat Polsk. Zw. Hod. Psów Rasowych

w Warszawie p. prof. M. Trybulski i p. Fl. Dabiński inspektor budowlany Pomorskiej Izby Rolniczej w Toruniu, obecność których przyniosła bardzo poważne korzyści.

Psy biorące udział w pokazie nagrodzono 1 srebrnym i 2 medalami Pomorskiej Izby Rolniczej w Toruniu, 2 bronzowymi medalami i 2 listami pochwalnymi Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych w Warszawie. Właściciele psów popisujących się na konkursie otrzymali dyplomy na premje Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, 1 medal srebrny i 1 bronzowy Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich w Warszawie, nagrody pieniężne Pomorskiej Izby Rolniczej i Zachodnio - Pomorskiego Klubu Myśliwskiego w Chojnicach. Pozatem 5 uczestników otrzymało w darze od p. Dr. J. Łukowicza książkę p. t. „Ks. L. Niedbał — Hodowla, wychowanie i tresura wyżła dowodnego".

POKAZ.

Zgłoszono następujące psy:

1. Treu z Wąsowa, ur. 17.8 1930 r. Ojciec Rhino v. Ruhrtal, matka Grille v. Romerstadt. Maść bronzowa, z białą piersią, szorstkowłosy, wysokość 65 cm. Właściciel Feliks Gramowski, Tarnowo Podgórne, pow. Poznański. Budowa dobra z wyjątkiem nieco spadzistego zadu.

2. Draga v. Buchenberg, suka, ur. 11.IV.1929. Ojciec Rej z Wielkopolskiej Kniei, matka Ira z nad Gopła, bronzowo - biało - nakrapiana z bronzowemi łatami, wysok. 60 cm. Hodowca Ignacy Jasiński z Strzelna, właściciel B. Gramowski z Wymysłowic. Delikatna budowa jednak zniekształcona przez zbyt wysoki zad.

3. Leda z Łowieckiego Dworu, suka, ur. 23.7 1929 r. Ojciec Boy z Nad Gopła, matka Zulejka z Łowieckiego Dworu. Bronzowa, szorstko - włosa, 63 cm. wysoka. Hodowca leśniczy U. Raszke — Powązki, treser Alojzy Borzyszkowski. Delikatnej budowy, bardzo zbliżona do typu, nieco spadzisty zad, nadająca się do hodowli.

Nagroda: list pochwalny Polsk. Zw. Hod. Psów Rasowych.

Tref z Łowieckiego Dworu, ur. 23.4.1930. Ojciec Greif v. Ruhrtal, matka Zulejka z Łowieckiego Dworu. Maść bronzowa, szorstko - włosy, 62 cm. wysoki. Hodowca i treser U. Raszke, właściciel A. Pruszak w Krojantach. Delikatna budowa, słabe muskuły.

5. Saturn (Theddys Freude), ur. 22.II.1930. Ojciec Schnaps v. Haffstrand, matka Geza, g. Rega Cranzin (import z Niemiec). Brunatny biało nakrapiany, bronzowe łaty, szorstko - włosy. Właściciel Jan Rohde z Gramowa, pow. Chojnice. Dobra budowa, pysk za gładki, owłosienie niezupełnie szorstko - włose.

6. Tarzan, ur. 23.III.1931. Ojciec Othello v. Buchenberg, matka Draga v. Buchenberg, wysok. 62 cm. Hodowca Br. Gramowski, właściciel H. Kerber. Dobrze zbudowany, typowy dla niemieckiego wyżła szorstko - włosego.

Nagroda: srebrny medal Pomorskiej Izby Rolniczej.

7. Cara v. Siegmundslust, suka, ur. 1.I.1930. Ojciec Arko v. Auenheim, matka Flamme Beskum. Importowana z Niemiec. Bronzowa w białe łaty, szorstko - włosa, 59 cm. wysoka. Właściciel E. Gumprecht z Chojnic. Ładnie, lecz zbyt słabo zbudowana.

Nagroda: bronzowy medal Pomorskiej Izby Rolniczej.

8. Trull, ur. w sierpniu 1931 r. Ojciec Treu, matka Diana. Właściciel Jerzy Pokrzewnicki, Nowa Cerkiew, pow. Chojnice. Dobra budowa, nadaje się jako reproduktor.

Nagroda: bronzowy medal Polsk. Związku Hodowców Psów Rasowych.



Konkurs w Klosnowie. Sędziowie i menerzy.

9. Kora, ur. 1.VIII.1931. Ojciec Echo, matka Diana. Maść bronzowo - biało - nakrapiana, bronzowe łaty, krótkowłosa. Właściciel Dr. Jan Łukowicz z Chojnic. Dobry wzrost, żywego temperamentu, ładna głowa, widocznie dużo angielskiej krwi.

Nagroda: bronzowy medal Polsk. Związku Hod. Psów Rasowych.

10. Dina, suka, 5 lat, bronzowo - biało nakrapiana, bronzowe łaty, krótko - włosa, 66 cm. wys. Treser leśniczy Dalchow Kopernica (pow. Chojnice). Właściciel Dr. Jan Łukowicz. Mocna klatka piersiowa, zdatna do hodowli.

Nagroda: list pochwalny Polsk. Zw. Hod. Psów Rasowych.

11. Tośka z Łowieckiego Dworu, ur. 23.IV.1930. Ojciec Greif v. Ruhrtal, matka Zulejka z Łowieckiego Dworu. Brunatna, nakrapiana, z plamami jasno brunatnemi. Wysokość 59 cm. Hodowca i właściciel U. Raszke. Dobra budowa, lecz bardzo słaba kondycja.

12. Nixa z Łowieckiego Dworu, suka, ur. 23.IV. 1930 r. Ojciec Greif v. Ruhrtal, matka Zulejka z Łowieckiego Dworu. Biało - bronzowa nakrapiana

z bronzowemi plamami, szorstko - włosa, 59 cm. wysoka. Hodowca U. Raszke, właściciel leśn. Maksymiljan Schubert, Dębowa Góra, pow. Chojnice. Mierna budowa. Owłosienie włochate.

13. Hero, ur. 1930 r. Rodzice nieznani. Bronzowo nakrapiany, krótko - włosy, 63 cm. wysoki. Właściciel Józef Lewandowski, Kłodawa. Krzywy grzbiet, zad spadzisty, błędy w budowie tylnych nóg. Nie nadaje się jako produktor.

KONKURS.

Do konkursu stawiło się 6 psów, z których jednego wycofano przed konkursem, a drugiego mianowicie Saturna, w czasie trwania konkursu. Sędziowie skonstatowali, że b. dobrze pracowały psy na wodzie, a praca leśna również wykazała bardzo pomyślne rezultaty. Stosunkowo najsłabiej wypadła praca polna, a to dlatego, że łowiska pomorskie składają się przeważnie z bogatych w zwierzynę lasów, zarośli, bagien i jezior, pola natomiast wykazują zazwyczaj nikłą ilość kuropatw. Podnieść należy, że dzięki wysiłkom trenerów, cięłość psów wykazała nadzwyczajne postępy.

Rezultaty konkursu były następujące:

1. Treu z Wąsowa za farbą szedł bardzo pewnie i doprowadził do kozła swego trenera, wykazał dobry aport zgubionej zwierzyny, pracę wodną i cięłość doskonałą. W pracy polnej zauważyć się dały pewne, zresztą nieznaczne braki. Ilość punktów 215

Nagroda: dyplom na I premję Pom. Tow. Łowieckiego w Toruniu, srebrny medal Tow. Hod. Psów Myśliwskich w Warszawie i 50 zł.

2. Draga v. Buchenberg na trop weszła dobrze lecz po pewnym czasie zgubiła go i zeszła na następną włóczkę. Komisja Sędziowska dała jej nowy trop farbowany, który dobrze opracowała. W pracy wodnej i polnej okazała się b. dobrą, lecz cięłość wykazała niezupełnie zadowalniającą. Punktów 208.

Nagroda: dyplom na II premję Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego i 35 zł.

3. Leda w pracy leśnej, przedewszystkiem za farbą była doskonała. Bardzo dokładnie brała wszelkie zakręty farbowanego tropu. Praca wodna również była bez zarzutu. Nadzwyczaj ambitnie i wytrwale atakowała mocnego kota, i osadziła go. Praca polna była dobra, lecz wymaga jeszcze wysiłków ze strony tresera, w szczególności w kierunku wyrobienia należytego apelu. Punktów 202.

Nagroda: Dyplom na I premję Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, bronzowy medal Tow. Hodowców Psów Myśliwskich i 45 zł.

4. Tref — praca na farbie dobra, aport zgubionej zwierzyny, jakoteż praca wodna b. dobre. Cięłość zupełnie niezadowalniająca. W pracy polnej okazał wiatr, wystawienie b. dobre, lecz wogóle nie respektował zająca, karność niewystarczająca. Punktacja 179.

Nagroda pieniężna 20 zł.

M. BERNAKIEWICZ.

OCHRONA I HODOWLA ŻUBRA.

Donosiliśmy już o mającym się odbyć w dn. 8 i 9 b. m. w Berlinie nadzwyczajnym zebraniu Międz. Tow. Ochrony Żubra. Reprezentacje nadesłały: Anglja, Austrja, Dania, Holandja, Niemcy, Polska, Szwecja, Szwajcarja i Węgry. Z tak licznego udziału przekonać się było można o niezwykłym zainteresowaniu, jakie miało obecne zebranie. Polskę reprezentowali p. p. Wł. Janta-Połczyński, konsulent hon. Min. Rolnictwa i Dr. Żabiński Dyr. Ogrodu Zool. w Warszawie.

Międzynarodowe Tow. O. Ż. zajmowało się dotąd propagandą w zbudzeniu interesu dla ostatnich potomków szlachetnego zwierzęcia. Wydawało broszury biograficzne i biologiczne, urządzało odczyty połączone z filmami, ułożyło wreszcie dla zachowania czystości rasy księgę rodowodową i hodowli, ułożoną przez van der Groeben dotąd istniejących ostoji żubra. Dopiero zainteresowanie się amerykańskiego Tow. Zoologial-Society w New-Yorku nad smutnym losem europ. krewniaka bizona, które po zeszłorocznej wizycie ich wysłannika Dr. Blair do Białowieży wyznaczyło 15,000 dol. na podtrzymania hodowli żubra w Europie, postanowiło Tow. z teoretycznego i ideowego przejść do realnego spełnienia owych powinności. Po przedstawieniu reprezentanta Polski o koniecznej potrzebie nowego stadnika dla Białowieży, postanowiono przedewszystkiem z funduszu tego uczynić zadość temu żądaniu. Następnie założyć nowy zwierzyniec hodowlany, dla odmiany w południowych górskich okolicach Niemiec, do którego odpowiednie egzemplarze dostawić się zobowiązały w tym kraju się znajdujące zoologi i inni hodowcy. Jak bowiem doświadczenia wykazały jest umieszczenie żubrów w kilku osiedlach dla uchronienia ich przed motylicą (u p. Beyme wymarło na nią całe stado) uważane za niezbędne.

Długa dyskusja tycząca się czystości hodowli i jej wykonania według planu księgi rodowodowej von Groebena, zajęła tyle czasu, iż do sprawozdania o praktycznych wynikach hodowli przyszedł tylko do głosu reprezentant Polski, który obszernie zareferował o nowym, rozszerzonym w Białowieży zwierzyńcu i poczynionych w nim ulepszeniach.

Nadto Zarząd M. T. O. Ż. w porządku dziennym zakomunikował W. Zebraniu, iż po ustąpieniu p. hr. Arnima wybrany został na zastępcę Prezydenta reprezentant Polski p. Władysław Janta-Połczyński, co W. Zebranie przyjęło z ogólnym aplauzem.

Resztę czasu wypełniła niemniej zajmujące zwiedzenie Ogrodu Zool. w Berlinie i wzorowej hodowli żubrów hr. Arnima w Boizenburgu i zakończyło kilkudniowe bezwątpienia interesujące i ważne dla przyszłości żubra międzynarodowe zebranie.

Ł. P.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

Dnia 1 września odbyło się polowanie na kuropatwy u p. Ignacego Drużbackiego, w Zameczku. Przy pięknej pogodzie, w paru sztrajfach i pędzeniach zabito 126 kuropatw i 2 krzyżówki.

Dnia 10 września odbyło się polowanie na kuropatwy u p. Tadeusza Domańskiego, w Prymusowej Woli. W10 strzelb w paru sztrajfach i pędzeniach zabito 216 sztuk. Stan kuropatw, jak na opoczyńskie stosunki, znakomity. Polowano w trudnych warunkach, normalnie powinno było paść drugie tyle.

Dnia 1 września polowano w dobrach Mełgiew — pp. Zygmuntostwa Rulikowskich w cztery strzelby na kuropatwy. Podniesiono 260 kuropatw, najwięcej na rozkładzie miał p. Wojciech Michalski (88 sztuk).

Dnia 7-go września r. b. w dobrach Wierzchowiska p. Jana Koźmiana polowano w dziewięć strzelb. W trzech sztrajfach i 8 pędzeniach podniesiono 241 sztuk (138 kuropatw, 2 przepiórki, 2 gołębie, 2 różne). Najwięcej na rozkładzie (72 sztuki) miał p. Wojciech Michalski.

Dnia 10 września r. b. w dobrach Brzezice p. Włodzimierza hr. Scipio del Campo polowano w 9 strzelb, podniesiono 362 kuropatwy. Najwięcej na rozkładzie (sztuk 63) miał p. Kazimierz Drecki.

Dnia 9 i 10 września r. b. odbyło się polowanie na kuropatwy w dobrach Tomczyce (pow. grójecki), u p. Stanisława Bonieckiego.

Na ośmiu myśliwych padło w dwa dni razem 241 sztuk, w czem: kuropatw 238, przepiórki 2, jastrząb 1.

Królem polowania został p. Edward hr. Plater z Omchowa, mając na rozkładzie 80 kuroptw i 1 jastrzębia.

Stan kuropatw tak na polach dworskich jak i dzierżawnych jest bardzo dobry.

W dniu 15 września w Zborowie (pow. Stopnica), u p. Tomasza Łaszkiewicza odbyło się polowanie na kuropatwy pędzone z sztrajfami. Ogółem padło 180 sztuk. Udział brali: Ks. Arturowie Radziwiłłowie, Ks. Maciejowie Radziwiłłowie, p. A. Dzianott, p. L. Szydłowski, hr. H. Dembiński i p. W. Daniewski. Najwięcej na rozkładzie (47 szt.) miał ks. Maciej Radziwiłł ze Słupi.

Dnia 28 września odbyło się polowanie na pędzone kuropatwy w majątku Silnica Wielka p. Hieronima Siemieńskiego. Brali udział w polowaniu: p. Tadeusz Halpert, hr. Paweł Potocki, p. Witold Morawski, ks. Jerzy Lubomirski, hr. Maurycy Potocki, p. Tadeusz Karski, hr. Władysław Potocki, hr. Zygmunt Wielopolski. Ubito sztuk 502, w tem 381 kuropatw, 117 królików, 4 różne.

W drugiej połowie sierpnia r. b. odbyło się polowanie w majątku Kondraciszki, powiat Lidzki. W 4 strzelby zabito: 16 cietrzewi, 8 kaczek, 8 kszyków, 2 dubelty, 1 jastrzębia, razem 35 sztuk. Najwięcej na rozkładzie — 27 sztuk miał p. Henryk Buszyński. Na kaczki polowano z naganką, na pozostałą zwierzynę z wyżłem.

— Dnia 1 października odbyło się u p. Stefana Libiszowskiego w Skrzyńcu polowanie na pędzone kuropatwy. Polowano przeważnie w sadach — stan kuropatw znakomity. W 6 strzelb zabito 139 sztuk. Najwięcej miał na rozkładzie — 38 sztuk Zygmunt h. Plater.

Z POW. SIEDLECKIEGO.

— W dniu 1 września 1932 r. odbyło się polowanie w majątku Czeberaki p. Antoniego Bądzyńskiego, przy udziale 9 strzelb. Ubito 71 kuropatrw. W tym samym majątku polowano w trzy strzelby w dniu 13 września i ubito 31 kuropatw.

— W dniu 10 września 1932 r. polowano w majątku Hruszniew p. Kazimiery hr. Broel Platerowej, w strzelb 6. Ubito 51 kuropatw.

— W dniu 16 września 1932 r. polowano w majątku Falatycze p. Edwarda Rackmanna, w 7 strzelb. Ubito 57 kuropatw.

— W dniu 30 września 1932 r. polowano na terenie wsi Popławy, dzierżawionym przez p. Antoniego Bądzyńskiego, w trzy strzelby i ubito 51 kuropatw i 1 bekasa.

Stan kuropatw podniósł się znacznie w stosunku do lat ubiegłych.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. Nr. 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.



ZNAK FABR.

Z. A. „POCISK" S.A.

POLECAJĄ

NABOJE
MYŚLIWSKIE
KAL. 12, 16 i 20

PROCHY
BEZDYMNE
MYŚLIWSKIE KRAJOWE
„ŁOŚ" i
„SZARAK"

NABOJE
SPORTOWE
KAL. 22

NA SEZON ZAJĘCZY

MISTRZOSTWA
1932 r.
W STRZELANIU DO RZUTKÓW
NA
VII NARODOWYCH ZAWODACH
W POZNANIU 13 IX — 15 IX 1932 r.
ZOSTAŁY ZDOBYTE NABOJAMI
Z. A. „POCISK" S. A.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.